

Prószczyński i S-ka

TERRY PRATCHETT
WIEDŹMIKOŁAJ

Książka w salonach

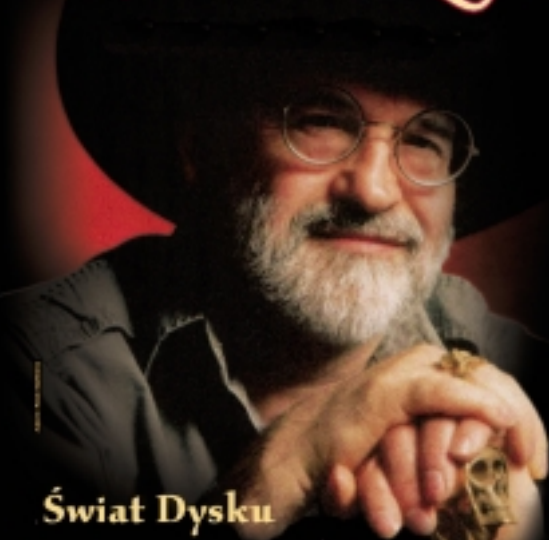
EMPIK

od 1 października 2004 r.

ŚWIAT DYSKU

Prószyński i S-ka

TERRY PRATCHETT



Świat Dysku



Łącząc tradycję Władcy Pierścieni i Monty Pythona, otrzymuje groteskową Historię Ludzkiego Szaleństwa.

Piotr Sarzyński, „Polityka”

Pomysłowość i absurdałne poczucie humoru autora są niewyczerpane.

Łukasz Radwan, „Wprost”

Niewielu jest pisarzy potrafiących pisać z poczuciem humoru tak niewymuszonym, tak umiejętnie dawkować momenty serio, dające do myślenia, i tak pięknie całe to danie okraszyć właściwą ilością emocji, że i lezka się może czytelnikowi w oku zakręcić, choć to przecie komedia pełną gębą.

„Głos Wielkopolski”

Siła tego cyklu leży w niezwykłym pomieszaniu fantazji z rzeczywistością. Pratchett, jako jedyny twórca fantazy, nie jest oderwany od codzienności.

Widzi ją i opisuje w przewrotnym, groteskowym i bardzo cynicznym sposób. To rzeczywistość w gruncie rzeczy bardzo bliska brytyjskiemu kabaretowi intelektualnemu spod znaku trupy Monty Pythona.

Tomasz Lada, „Życie Warszawy”

Akcja każdej powieści jest wciągająca, dynamiczna i konsekwentna, bohaterowie tworzą niezapomnianą galerię typów, a przesłanie kolejnych tomów składa się na spójną ocenę natury ludzkiej i współczesnej kultury.

„Fantasy”

Jest szaleńczo zabawny. Jest inteligentny. Ma styl.

„Daily Telegraph”

Jeśli ktoś nie zna jeszcze tej Pratchettowskiej niezwyklej mieszanki filozoficznych żartów, przeplatanych ślapstickową komedią, właśnie zyskał wyjątkową okazję poszerzenia horyzontów.

„Financial Times”

Najzabawniejszy piszący obecnie autor brytyjski – w dowolnym gatunku.

„Yorkshire Post”

Najlepszy pisarz-humorysta dwudziestego wieku.

„Oxford Times”

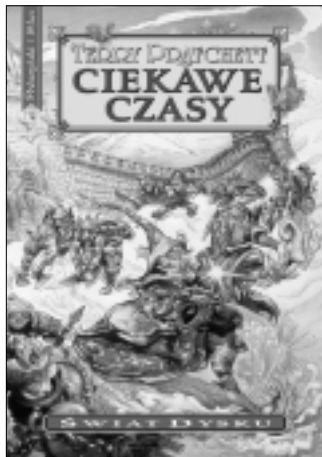
Błyskotliwy bajarz z poczuciem humoru równie zabawnym, co ironicznym. Jest moralistą, filozofem i humanistą... Dickens dwudziestego wieku.

„Mail on Sunday”



Terry Pratchett i jego wierny tłumacz Piotr W. Cholewa

Książka „Ciekawe czasy” otrzymała tytuł Asa Empiku 2003, w kategorii Fantastyka Zagraniczna



Poznajcie Rincewinda (o ile dotąd nie mieliście okazji). Niezwykła z niego postać. Właściwie to nawet można powiedzieć, że wyjątkowa. Poliglota – umie błągać o litość w kilkunastu językach. Ceniący spokój, wprost uwielbiający nudę, której tak wielu z nas całkiem nierozsądnie stara się uniknąć.

Na swoje nieszczęście Rincewind jest ponadto magiem. W dodatku jedynym w swoim rodzaju. W bardzo teoretycznym znaczeniu tego słowa. No bo, spójrzmy prawdzie w oczy, co to za mag, który nie umie rzucić żadnego zaklęcia? To jak lucznik, który nie jest w stanie naciągnąć cięwy. Słowo „nieudacznik” pasuje do Rincewinda jak ułaj.

Jednak to pochopna ocena i z gruntu błędna. Rincewind dzięki bogatemu doświadczeniu, zdobywanemu zawsze wbrew woli, doprowadził do perfekcji niezmiernie ważną umiejętność – zdolność przeżycia. Środek do osiągnięcia celu stanowi zwykle ucieczka, którą ów pseudomag może bez przesady uznać za swój odruch bezwarunkowy.

Nieomylny instynkt natychmiast podpowiadałby Rincewindowi, że najgorsze przekleństwo używane w Imperium Agatejskim: „Obyś żył w ciekawych czasach!” jest znacznie groźniejsze, niż mogłoby się wydawać mniej doświadczonym tchórzom. Nasz mag bowiem nigdy nie szuka kłopotów – one same go znajdują. Tym razem jednak trochę im w tym dopomógł (no cóż, wszyscy popielniamy błędy).

Kapelusz jest dla każdego maga przedmiotem niezwykle cennym. To symbol przynależności do elitarnej kasty, czytelny dla wszystkich, którzy w jej obręb nie wchodzą (np. skrytobójców – upewnia ich, że zlikwidowali właściwego klienta).

Rincewind postanowił dodatkowo oznaczyć swój kapelusz napisem MAGGUS – zapewne w ramach akcji ratowania własnego skurczonego ego. Co dało efekt zbliżony do „masła maślanego” wplątało go – niespodzianka! i – w kłopoty.

Lekkie, humorystyczne książki Pratchetta, ze znakomitym wyciuciem dowcipu językowego przetłumaczone przez Piotra Cholewę, pomiędzy wierszami podejmują ważne zagadnienia, w tym przypadku: wpływ władzy totalitarnej na społeczeństwo. Jego Świat Dysku, mimo że opiera się na grzbietach czterech słoni, stojących z kolei na skorupie ogromnego gwiazdnego żółwia, tylko pozornie różni się od trzeciej planety odległej od Słońca.

W rzeczywistości jego mieszkańcy, choć nie zawsze są nimi ludzie czy choćby małpy czleko-kształtne, mają charakter i problemy podobne do tych, które są nieodłącznymi składnikami naszej szarej codzienności.

„Ciekawe czasy” polecam wszystkim, bo któż nie lubi poczytać o kimś, kto jest większym niezdarą i pechowcem od niego, a mimo to może od czasu do czasu liczyć na uśmiech losu?

Agnieszka Chojnowska, „Wirtualna Polska”

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

WIEDŹMIKOŁAJ

Przełożył
Piotr W. Cholewa



Prószyński i S-ka



Wszystko się gdzieś zaczyna, choć wielu fizyków ma inne zdanie.

Ludzie jednak zawsze niejasno zdawali sobie sprawę z problemu, jakim są początki. Zastanawiali się głośno, jak dociera do pracy kierowca pługa śnieżnego albo gdzie autorzy słowników sprawdzają pisownię słów. Mimo to istnieje odwieczne pragnienie, by w skręconych, splątanych, skłębionych sieciach czasoprzestrzeni znaleźć taki punkt, który można wskazać metaforycznym palcem i stwierdzić, że tutaj właśnie wszystko się zaczęło...

Coś zaczęło się w dniu, gdy Gildia Skrytobójców przyjęła pana Herbatkę, który widział rzeczy inaczej niż inni ludzie, a jednym ze sposobów, w jaki

widział rzeczy inaczej niż inni ludzie, był ten, że w innych ludziach widział tylko rzeczy. (Później lord Downey z Gildii Skrytobójców powiedział: „Zlitowaliśmy się nad nim, ponieważ w tak młodym wieku stracił oboje rodziców. Myślę teraz, że powinno nas to bardziej zastanowić”).

Coś jeszcze zaczęło się wcześniej, o wiele wcześniej, kiedy ludzie zapomnieli, że najstarsze opowieści mówią – tak czy inaczej – o krwi. Usunęli tę krew, żeby opowieści bardziej się nadawały dla dzieci, a przynajmniej dla ludzi, którzy je dzieciom czytają – bardziej niż dla samych dzieci (które na ogół całkiem lubią krew, pod warunkiem że przelewana jest przez tych, którzy zasłużyli*). A później się dziwili, dokąd prowadzą te opowieści.

I jeszcze wcześniej, kiedy coś w mroku najgłębszych jaskiń i najciemniejszych puszczy pomyślało: Co to za istoty? Będę je obserwować...



I jeszcze o wiele, wiele wcześniej – kiedy formował się Dysk, dryfujący przez kosmos na grzbietach czterech słoni, stojących na skorupie ogromnego żółwia, Wielkiego A'Tuina.

Możliwe, że w swym ruchu wplątuje się – jak ślepiec w domu pełnym pajęczyn – w te wysoce spe-

* To znaczy tych, którzy zasłużyli, żeby przelewać krew. A może i nie. Z niektórymi dziećmi nigdy nic nie wiadomo.

cializowane cienkie włókna czasoprzestrzeni, które usiłują się mnożyć w każdej napotkanej historii, rozciągać ją, rozłamywać, układać w nowe formy.

A możliwe, że nie, naturalnie. Filozof Didactylos streścił alternatywną hipotezę jako: „Rzeczy po prostu się zdarzają. A co tam...”.



Najstarsi magowie Niewidocznego Uniwersytetu stali wokół i przyglądali się drzwiom. Nie było żadnych wątpliwości, że ten, kto je zamknął, chciał, by pozostały zamknięte. Dziesiątki gwoździ mocowały skrzydło do framugi. W poprzek ktoś przybił deski. W dodatku aż do dzisiejszego ranka były ukryte za biblioteczką, którą ktoś przed nimi ustawił.

– I jest jeszcze kartka, Ridcully – przypomniał dziekan. – Czytałeś ją, jak przypuszczam. No wiesz, ta kartka, co jest na niej napisane: „Pod żadnym pozorem nie otwierać tych drzwi”.

– Pewnie że czytałem – potwierdził Ridcully. – Myślicie, że czemu chcę je otworzyć?

– No... czemu? – zapytał wykładowca run współczesnych.

– Żeby sprawdzić, dlaczego są zamknięte, oczywiście*.

* Ta rozmowa zawiera w sobie niemal wszystko, co należy wiedzieć o ludzkiej cywilizacji. Przynajmniej o tych jej kawałkach, które leżą teraz na dnie morza, są ogrodzone lub wciąż jeszcze dymią.

Skinął na Moda, uniwersyteckiego ogrodnika i krasnoluda do wszystkiego, który stał w pobliżu z łomem w ręku.

– Bierz się do roboty, chłopcze.

Ogrodnik zasalutował.

– Się robi, proszę pana.

Przy akompaniamencie trzasków łamanego drewna Ridcully ciągnął dalej:

– Z planów wynika, że to była łazienka. Przecież, na miłość bogów, nie ma w łazienkach niczego strasznego. Chcę mieć łazienkę! Mam już dość chlapania się razem z wami, chłopcy. To niehygieniczne. Można coś złapać. Ojciec mi mówił. Kiedy dużo ludzi kąpie się razem, Gnom Kurzajka biega dookoła ze swoim workiem.

– To ktoś w rodzaju Wróżki Zębuszki? – zapytał sarkastycznie dziekan.

– Ja tu jestem szefem i mam prawo do osobnej łazienki – oświadczył stanowczo Ridcully. – I tyle na ten temat, jasne? Chcę mieć łazienkę na Noc Strzeżenia Wiedźm, zrozumiano?

I na tym polega kłopot z początkami. Czasem, kiedy ma się do czynienia z domeną okultyzmu, która całkiem inaczej traktuje czas, skutek następuje trochę wcześniej niż przyczyna.

Skądś, na samej granicy słyszalności, zabrzmiało delikatne „dzyń, dzyń, dzyń”, jakby dźwięczały małe srebrne dzwoneczki.



Mniej więcej w tym samym czasie, gdy nadrektor tworzył nowe prawo, Susan Sto-Helit siedziała na łóżku i czytała przy świeczce.

Mróż wymalował szronem dziwne desenie na szybach.

Lubiła te wczesne wieczory. Kiedy już położyła dzieci do łóżek, miała czas tylko dla siebie. Pani Gaiter, choć przecież płaciła Susan pensję, była przerażona na samą myśl o wydawaniu jej poleceń.

Pensja zresztą nie była ważna. Liczyło się to, że Susan jest Osobą Samodzielną, wykonującą Prawdziwą Pracę. Praca guwernantki na pewno była prawdziwa. Jedyny problem to owo zakłopotanie, jakie wyniknęło, kiedy jej pracodawczyni odkryła, że Susan jest księżną. Ponieważ według książki (a w przypadku pani Gaiter była to książka raczej krótka, z kartkami pokrytymi dużym, ręcznym piśmem), wyższe sfery nie powinny pracować. Powinny być próżniacze. Susan z najwyższym trudem skłoniła ją, by nie dygała, gdy się mijają.

Światło zamigotało. Płomień świecy wyciągnął się poziomo w bok, jak gdyby dmuchał huraganowy wicher.

Susan odwróciła głowę. Zasłony wzdymały się przy oknie, które...

...otworzyło się z trzaskiem.

Ale nie było wiatru.

A przynajmniej nie było w tym świecie.

Jakieś obrazy formowały się w myślach. Czerwona kula... Ostry zapach śniegu...

A potem zniknęły, w ich miejsce zaś pojawiły się...

– Zęby? – odezwała się głośno Susan. – Znowu zęby?

Mrugnęła. I kiedy otworzyła oczy, okno było – wiedziała, że tak będzie – szczelnie zamknięte. Zasłony wisiały spokojnie. Płomień świecy niewinnie sterczał pionowo. Nie, znowu się zaczyna... Choć tyle czasu minęło i wszystko tak dobrze się układało...

– Siuzian...

Obejrzała się. W uchylonych drzwiach stała mała dziewczynka – bosa i w nocnej koszuli.

Susan westchnęła.

– Tak, Twylo?

– Boję się, bo w piwnicy ceka potwór. On chce mnie pozłoc.

Susan zatrzasnęła książkę i ostrzegawczo uniosła palec.

– Pamiętasz, Twylo, co powiedziałam o takim przymilnym, dziecinnym mówieniu?

– Powiedziałaś, że mam tak nie robić – odparła dziewczynka. – Powiedziałaś, że takie przesadne seplenienie jest karalne, i że robię tak tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Zgadza się. Wiesz, jaki to potwór tym razem?

– Taki wielki, futsasty i...

Susan znów podniosła palec.

– No? – ostrzegła.

– Futrzasty – poprawiła się Twyła. – I ma osiem łap.

– Znowu? No dobrze...

Wstała i włożyła szlafrok. Dziecko patrzyło na nią, więc starała się zachowywać spokój. A więc to wraca, myślała. Nie, nie ten potwór w piwnicy. To zwykła codzienność. Ale najwidoczniej znowu znacznie pamiętać przyszłość.

Potrząsnęła głową. Nieważne, jak daleko by człowiek uciekł, zawsze sam siebie dogoni.

Przynajmniej potwory były łatwe. Już nauczyła się sobie z nimi radzić. Wzięła pogrzebacz sprzed kominka w dzieciennym pokoju i tylnymi schodami zeszła na dół. Twyla ruszyła za nią.

Państwo Gaiter przyjmowali gości. Zza drzwi jadalni dobiegała stłumiona rozmowa.

I właśnie kiedy Susan przekradała się obok, ktoś otworzył te drzwi. Zajaśniało żółte światło i jakiś głos zawołał:

– Na bogów, jest tu jakaś pannica w nocnej koszuli i z pogrzebaczem!

Dostrzegła sylwetki wyrysowane w żółtym świetle i rozpoznała niespokojną twarz pani Gaiter.

– Susan? Eee... Co tu robisz?

Susan spojrzała na pogrzebacz, a potem na pracodawczynię.

– Twyla mówi, że boi się potwora w piwnicy, proszę pani.

– I ty chcesz go przepędzić pogrzebaczem? – domyślił się któryś z gości.

Z jadalni dochodził wyraźny zapach brandy i cygar.

– Tak – odparła krótko Susan.

– Susan to nasza guwernantka – wyjaśniła pani Gaiter. – Opowiadałam o niej.

Nastąpiła jednoczesna zmiana wyrazu twarzy za drzwiami. Pojawił się na nich rodzaj rozbawienia i szacunku.

– Odpędza potwory pogrzebaczem? – odezwał się ktoś.

– Prawdę mówiąc, to znakomity pomysł – stwierdził ktoś inny. – Mała wbija sobie do głowy, że w piwnicy czeka powtór, więc idzie się tam, stukając głośno parę razy, gdy dziecko słuca, a potem wszystko już jest w porządku. Dobrze kombinuje ta dziewczyna. Bardzo rozsądnie. Bardzo nowoczesnie.

– To właśnie chcesz zrobić? – spytała niepewnie pani Gaiter.

– Tak, proszę pani – odpowiedziała posłusznie Susan.

– Na Io, muszę to zobaczyć. Nie co dzień można spotkać takie pannice, co tłuką pogrzebaczem potwory – oświadczył jakiś mężczyzna zza pleców pani Gaiter.

Zaszeleścił jedwab i wypłynęła chmura tytoniowego dymu, gdy goście wysypali się z jadalni na korytarz.

Susan westchnęła znowu i ruszyła w dół, do piwnicy. Twyla usiadła grzecznie u szczytu schodów, obejmując rękami kolana.

Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, przerwana straszliwym wrzaskiem. Któraś z kobiet zemdliała, a jakiś mężczyzna upuścił cygaro.

– Nie ma się o co martwić, wszystko będzie dobrze – uspokoiła ich Twyla. – Susan zawsze wygrzywa. Wszystko będzie dobrze.

Usłyszeli stuki i brzęki, potem jakiś warkot, aż w końcu coś w rodzaju bulgotania.

Susan otworzyła drzwi. Pogrzebacz był pogięty w kilku miejscach. Zabrzmiały nerwowe oklaski.

– Dobra robota – pochwalił jeden z gości. – Bardzo sykologiczna. Sprytny pomysł z tym skrzywieniem pogrzebacza. Pewnie już się wcale nie boisz, co, dziewczuszko?

– Nie.

– Bardzo sykologiczne.

– Susan mówi, żeby się nie bać, tylko złościć – wyjaśniła Twyla.

– Ehm... Dziękuję, Susan – powiedziała pani Gaiter, będąca w tej chwili rozedrganym kłębkim nerwów. – A teraz, eee, sir Geoffreju, pewnie zechcą państwo wrócić do salonu... to znaczy do gabinetu...

Wszyscy odeszli. Ostatnie słowa, jakie usłyszała Susan, brzmiały:

– Wściekle przekonujący ten pogięty pogrzebacz...

Odczekała jeszcze trochę.

– Poszli już sobie, Twylo?

– Tak, Susan.

– To dobrze.

Wróciła do piwnicy, a po chwili wynurzyła się, wlokąc coś wielkiego, kudłatego i z ośmioma łapami. Zdołała jakoś zawlec to coś po schodach i bocznym korytarzem do wyjścia, gdzie wykopała to na dwór. Wyparuje przed świtem.

– Tak załatwiamy sprawy z potworami – rzekła. Twyla obserwowała ją uważnie.

– Teraz biegiem do łóżka, moja mała – powiedziała Susan, biorąc ją na ręce.

– A mogę na noc zabrać pogrzebacz do sypialni?

– Pewnie.

– On zabija tylko potwory, prawda...? – spytała sennie dziewczynka.

– Zgadza się. Wszystkie odmiany.

Ułożyła małą do łóżeczka obok brata i oparła pogrzebacz o szafkę dla lalek.

Pogrzebacz był tani, metalowy, z mosiężną gałką na końcu. Susan wiele by dała, by móc go użyć na poprzedniej guwernantce.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

Wróciła do swojego małego pokoiku i położyła się do łóżka, podejrzliwie zerkając na zasłony.

Miło by było uwierzyć, że sobie to wyobraziła. Ale też byłoby to głupie. Lecz miała za sobą już prawie dwa lata normalności, kiedy żyła samodzielnie w realnym świecie i w ogóle przyszłości nie pamiętała.

Może to wszystko jej się śniło? Chociaż sny też mogą być realne...

Starła się nie zwracać uwagi na długi sopel wosku, sugerujący, że płomień świecy – przez kilka chwil tylko – odchylił się na wietrze.



Gdy Susan próbowała zasnąć, lord Downey w swoim gabinecie starał się nadgonić papierkową robotę.

Lord Downey był skrytobójcą. A raczej Skrytobójcą. Skrytobójcy są całkiem inni od tych opryszków, co to krążą po ulicach i mordują ludzi dla pieniędzy. Są dzentelmenami, którzy czasem – za opłatą – udzielają konsultacji innym dzentelmenom, chcącym usunąć niewygodne ostrza z cukrowej waty życia.

Członkowie Gildii Skrytobójców uważali się za ludzi kulturalnych, wielbicieli dobrej muzyki, kuchni i literatury. Zнали też wartość ludzkiego życia. W wielu przypadkach co do pensa.

Gabinet lorda Downeya był wyłożony dębowymi panelami, a na podłodze leżał dywan. Meble wydawały się stare i zużyte, ale zużycie takie charakteryzowało tylko meble wysokiej klasy, używane z wielką elegancją przez wieki. To były dojrzałe meble.

W kominku płonęły grube polana. Przy ogniu spały dwa psy – w tych splełanych pozycjach, jakie zawsze i wszędzie przyjmują psy wielkie i kudłate.

Poza rozbrzmiewającym z rzadka psim chrapnięciem albo trzaskiem ognia panowała cisza, zakłócana jedynie skrzypieniem pióra lorda Downeya

i tykaniem stojącego przy drzwiach zegara z wahadłem – dyskretne, domowe odgłosy, tylko podkreślające ciszę.

Przynajmniej tak się działo, dopóki ktoś nie odchrząknął.

Dźwięk ten sugerował, że celem owej czynności nie jest eliminacja obecności w gardle kłopotliwego okruchu ciasta, tylko wskazanie – w najuprzyjemniejszy możliwy sposób – na obecność gardła.

Downey przestał pisać, ale nie podnosił głowy. Wreszcie – po chwili namysłu – odezwał się rzeczowym tonem:

– Drzwi są zamknięte na klucz. Okna zakratowane. Psy, jak sądzę, się nie zbudziły. Skrzypiące deski podłogi nie skrzypnęły. Inne drobne aranżacje, o jakich nie chcę tu szczegółowo wspominać, zostały najwyraźniej ominięte. Mocno ogranicza to dostępne możliwości. Szczerze wątpię, czy jesteś duchem, a bogowie na ogół nie anonsują się tak grzecznie. Mógłbyś być Śmiercią, naturalnie, ale on raczej nie przejmuje się konwenansami, a poza tym czuję się całkiem dobrze. Hm.

Coś pojawiło się w powietrzu przed jego biurkiem.

– Zęby mam w doskonałym stanie, więc nie jesteś też Wrózką Zębuszką. Zawsze uważałem, że kieliszek brandy przed snem usuwa zapotrzebowanie na usługi Piaskowego Dziadka. A że całkiem dobrze potrafię trzymać rytm, raczej nie ściągnę na siebie uwagi Starego Biedy. Hm.

Postać przedryfowała nieco bliżej.

– Przypuszczam, że gnom mógłby się przecisnąć przez mysią dziurę, ale rozstawiłem pułapki – ciągnął Downey. – Strachy potrafią przenikać ściany, lecz ujawniają się bardzo niechętnie. Doprawdy, nie potrafię odgadnąć. Hm?

Dopiero wtedy uniósł wzrok.

W powietrzu wisiała szara szata. Zdawało się, że jest kimś wypełniona, ponieważ miała kształt, chociaż jej lokator nie był widoczny.

Downey odniósł nieprzyjemne wrażenie, że ów lokator nie jest niewidzialny, ale po prostu – w sensie fizycznym – wcale go tam nie ma.

– Dobry wieczór – rzekł.

Dobry wieczór, lordzie Downey, odpowiedziała szata.

Jego mózg zarejestrował te słowa. Uszy mogłyby przysiąc, że ich nie słyszały.

Ale człowiek nie dlatego zostawał przewodniczącym Gildii Skrytobójców, że łatwo ogarniał go strach. Zresztą gość nie budził lęku. Był – zdaniem Downeya – niewiarygodnie nudny. Gdyby monotonna bezbarwność mogła przyjąć jakiś kształt, właśnie taki by wybrała.

– Wydajesz się widmem – oświadczył.

Nasza natura nie jest tematem do dyskusji, pojawiła się w jego głowie odpowiedź. Proponujemy panu zlecenie.

– Życzenie sobie kogoś inhumować?

Doprowadzić do końca.

Downey zastanowił się. Sprawa nie była aż tak niezwykła, jak mogłoby się wydawać. Każdy mógł kupić usługi Gildii Skrytobójców. W przeszłości zdarzało się, że angażowali gildię na przykład zombi, chcący wyrównać rachunki ze swymi zabójcami. W istocie gildia, jak lubił myśleć, praktykowała absolutną demokrację. By ją wynająć, zbędne były inteligencja, pozycja towarzyska, uroda czy wdzięk. Wystarczyły pieniądze, które – w przeciwieństwie do innych atrybutów – były dostępne dla każdego. Oprócz biedaków, naturalnie, ale niektórym ludziom zwyczajnie nie da się pomóc.

Doprowadzić do końca... Dziwne określenie.

– Możemy... – zaczął.

Zapłata będzie odpowiednia do trudności zadania.

– Nasz zakres cen...

Zapłata wyniesie trzy miliony dolarów.

Downey wyprostował się. To cztery razy więcej niż dowolne honorarium uzyskane przez członka gildii, a i tamto było specjalną stawką rodzinną, uwzględniającą też zostających na noc gości.

– I żadnych pytań, jak przypuszczam – rzekł, by zyskać na czasie.

Żadnych odpowiedzi.

– Proponowane wynagrodzenie sugeruje istniejące trudności. Czy klient jest dobrze strzeżony?

Wcale nie jest strzeżony. Ale niemal na pewno niemożliwy do wymazania bronią konwencjonalną.

Downey skinął głową. Nie musiało to powodować istotnych problemów. Przez lata działalności gildia zebrała spory asortyment broni niekonwencjonalnych. Wymazanie? Dziwny dobór słowa...

– Lubimy wiedzieć, dla kogo pracujemy.

Jesteśmy pewni, że lubicie.

– Chcę przez to powiedzieć, że musimy poznać pańskie nazwisko. Albo nazwiska. Oczywiście, gwarantujemy poufność tej informacji. Musimy coś wpisać w naszych aktach.

Może pan myśleć o nas jako... Audytorach.

– Doprawdy? A czego audyty przeprowadzacie?

Wszystkiego.

– Chyba musimy dowiedzieć się o was czegoś więcej.

Jesteśmy tymi, którzy mają trzy miliony dolarów.

Downey zrozumiał sugestię, choć wcale mu się nie spodobała. Trzy miliony dolarów mogą kupić wiele niezadanych pytań.

– Doprawdy? – powtórzył. – W takim razie, ponieważ jesteście nowymi klientami, chcielibyśmy otrzymać wynagrodzenie z góry.

Jak pan sobie życzy. Złoto jest w waszym skarbcu.

– Chce pan powiedzieć, że wkrótce znajdzie się w naszym skarbcu...

Nie. Zawsze było w waszym skarbcu. Wiemy, bo właśnie je tam umieściliśmy.

Przez chwilę Downey wpatrywał się w pusty kaptur. Potem, nie odwracając wzroku, sięgnął do rury komunikacyjnej.

– Pan Winvoe? – zapytał, kiedy już w nią gwizdnął. – Aha. Dobrze. Proszę mi powiedzieć, ile mamy w tej chwili w naszym skarbcu. Wystarczy w zaokrągleniu. Powiedzmy, do milionów. – Na chwilę odsunął wylot rury od ucha, po czym znów się do niej odezwał. – Niech pan będzie taki miły i jednak sprawdź, dobrze?

Odwiesił rurę i płasko ułożył dłonie na blacie przed sobą.

– Póki czekamy, czy mogę panu zaproponować coś do picia?

Tak. Sądzimy, że tak.

Downey wstał z poczuciem ulgi i przeszedł do sporego barku. Jego dłoń zawisała nad cennymi zapasami gildii, w starych karafkach opisanych Mur, Nig, Otrop i Yksihw*.

– A czego się pan napije? – spytał, zastanawiając się, gdzie Audytor ma usta. Jego dłoń zatrzymała się na moment nad niewielką butelką opisaną jako Anzicurt.

Nie pijemy.

* To smutne i straszne, ale wysoko urodzeni naprawdę wierzyli, iż służba da się oszukać, jeśli karafki zostaną podpisane od prawej do lewej. W licznych momentach historii niejednego politycznie uświadomionego kamerdynera również zakładał – mając lepsze ku temu podstawy – że jego pracodawcy nie zauważą, jeśli whisky zostanie dopelniona anyru.

– Ale właśnie pan powiedział, że mogę panu zaproponować...

Istotnie. Uważamy, że jest pan zdolny do wykonania tej czynności.

– Aha.

Downey zawahał się nad karafką whisky, ale zrezygnował. W tej właśnie chwili gwizdnęła rura komunikacyjna.

– Tak, panie Winvoe? Doprawdy? Rzeczywiście? Ja sam często znajduję jakieś drobne między poduszkami sofy; aż dziw, ile się tego może nazbierać... Nie, nie, to nie była iro... Owszem, miałem pewne powody, by... Ależ skąd, o nic pana nie obwiniam... Nie, naprawdę nie widzę, jak... Tak, proszę odpocząć, to dobry pomysł. Bardzo dziękuję.

Znowu odwiesił rurę. Kaptur nie poruszył się nawet.

– Musimy zatem dowiedzieć się gdzie, kiedy... i oczywiście kogo – rzekł po chwili pierwszy skrytobójca.

Kaptur przytaknął.

Lokalizacji nie ma na żadnej mapie. Chcielibyśmy, aby zadanie zostało wykonane w ciągu tygodnia. To kluczowy warunek. A o kogo chodzi...

Na biurku Downeya pojawił się rysunek, a w głowie pojawiły się słowa: Nazwijmy go Grubasem.

– Czy to żart?

My nie żartujemy.

Nie, na pewno nie, pomyślał Downey. Zabębnił palcami o blat.

– Wielu jest takich, którzy twierdzą, że... ta osoba... nie istnieje – powiedział.

Musi istnieć. Inaczej w jaki sposób rozpoznałby go pan tak szybko? Wielu też prowadzi z nim korespondencję.

– No tak. W takim sensie rzeczywiście istnieje...

W jakimś sensie wszystko istnieje. Nas interesuje raczej zaprzestanie istnienia.

– Odszukanie go może być kłopotliwe.

Na każdej ulicy spotkacie osoby, które podadzą wam jego przybliżony adres.

– Tak, naturalnie – zgodził się Downey. Nie był pewien, dlaczego ktoś chciałby je nazywać „osobami”. Dziwny dobór słów. – Ale, jak pan wspomniał, nie wydaje mi się, by potrafiły wskazać to miejsce na mapie. A gdyby nawet, to w jaki sposób... Grubas... może być inhumowany? Szklaneczką zatrutej sherry?

Kaptur nie miał twarzy, która mogłaby się uśmiechnąć.

Nie rozumiał pan natury zatrudnienia, za-brzmiało Downeyowi w głowie.

Zjeżył się. Skrytobójcy nie byli zatrudniani. Bywali angażowani, przyjmowani, otrzymywali zlecenia, ale nigdy zatrudniani. Zatrudnia się służących.

– A czegoż takiego nie rozumiałem?

My płacimy. Wy znajdujecie sposoby i środki.

Kaptur zaczął się rozwiewać.

– Jak mam się z panem kontaktować? – rzucił jeszcze Downey.

My skontaktujemy się z panem. Wiemy, gdzie pan mieszka. Wiemy, gdzie mieszka każdy.

Postać zniknęła. W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanął bardzo zdenerwowany pan Winvoe, skarbnik gildii.

– Przepraszam, lordzie, ale naprawdę musiałem przyjść! – Rzucił na biurko kilka niedużych dysków. – Proszę je obejrzeć.

Downey ostrożnie podniósł jeden mały krążek. Wyglądał jak nieduża moneta, ale...

– Nie ma wybitej wartości! – stwierdził Winvoe. – Ani awersu, ani rewersu, ani radełkowania! Gładkie dyski! To tylko gładkie dyski!

Downey otworzył usta, by spytać: „Bezwartościowe?”. Uświadomił sobie nagle, że skrycie na to właśnie liczy. Jeśli oni – kimkolwiek byli – zapłacili bezwartościowym metalem, to nie ma nawet cienia zawartego kontraktu. Widział jednak, że nic z tego – skrytobójcy już na wczesnych etapach kariery uczyli się rozpoznawać pieniądze.

– Gładkie dyski – powiedział – z czystego złota. Winvoe przytaknął.

– To całkiem wystarczy.

– Na pewno są magiczne! – zawołał skarbnik. – A nigdy nie przyjmujemy magicznych pieniędzy!

Downey rzucił monetę na blat; odbiła się kilka razy z satysfakcjonującym, bogatym brzękiem. Nie, nie była magiczna. Magiczne pieniądze wyglądałyby jak prawdziwe, ponieważ ich głównym zadaniem było oszukanie odbiorcy. Ale te nie musiały naśla-

dować niczego tak ludzkiego, tak łatwo podrabianego jak waluta. To złoto! – krzyczały do jego palców. Bierz je albo zrezygnuj.

Siedział i myślał, gdy Winvoe stał i się martwił.

– Weźmiemy je – postanowił.

– Ale...

– Dziękuję, panie Winvoe. Podjąłem decyzję. – Downey spojrzął w sufit, a po chwili się uśmiechnął. – Czy pan Herbatka jest jeszcze w budynku?

Winvoe cofnął się.

– Myślałem, że rada zgodziła się, by go usunąć – przypomniał oschle. – Po tej sprawie z...

– Pan Herbatka widzi rzeczy inaczej niż inni ludzie – odparł Downey. Podniósł z biurka obrazek i przyjrzał mu się z uwagą.

– Faktycznie. Sądzę, że to z całą pewnością prawda – zgodził się Winvoe.

– Proszę go tu przysłać.

Gildia przyciągała różne osoby, myślał Downey. Odkrył, że zastanawia się, w jaki sposób przyciągnęła takiego na przykład Winvoe’a. Trudno sobie wyobrazić, żeby wbił komuś nóż w serce, bo przecież krew mogłaby poplamieć portfel ofiary. Za to pan Herbatka...

Kłopot polegał na tym, że Gildia Skrytobójców przyjmowała młodych chłopców i zapewniała im doskonałe wykształcenie, a przy okazji uczyła zabić w sposób czysty i obojętny, dla pieniędzy albo dla dobra społeczeństwa, a w każdym razie dla dobra tej części społeczeństwa, która miała pieniądze; a jaka inna część społeczeństwa się liczy?

Jednak, choć bardzo rzadko, okazywało się, że przyjęto kogoś w rodzaju pana Herbatki, dla którego pieniądze stanowiły jedynie czynnik zakłócający. Pan Herbatka posiadał rzeczywiście błyskotliwy umysł, lecz błyskotliwy niczym rozbite lustro – cudownie lśniące odłamki i tęcze, ale przecież coś, co jednak jest pęknięte.

Pan Herbatka zbyt dobrze się bawił. Innymi ludźmi także.

Downey prywatnie zdecydował, że jakoś tak niedługo pana Herbatkę spotka wypadek. Jak wielu ludzi pozbawionych moralności, lord Downey przestrzegał pewnych norm, a Herbatka budził w nim odrazę. Skrytobójstwo to ostrożna gra, prowadzona zwykle przeciwko ludziom, którzy sami znają reguły, a przynajmniej mogą sobie pozwolić na usługi tych, którzy znają. Czysta inhumacja była źródłem uzasadnionej satysfakcji. Nie powinna budzić przyjemności inhumacja niechlujna. To prowokuje plotki.

Z drugiej strony, skręcony umysł Herbatki jest właściwym narzędziem, by rozwiązać właśnie taką sprawę. A jeśli mu się nie uda... Cóż, to przecież nie będzie winą Downeya, prawda?

Wrócił do dokumentów. Zadziwiające, ile się ich zbierało. Ale trzeba tego pilnować, w końcu nie są przecież mordercami...

Ktoś zastukał do drzwi. Downey odsunął papiery i oparł się wygodnie.

– Proszę wejść, panie Herbatka – powiedział.

Nigdy nie zaszkodzi wzbudzenie odrobiny repektu u innych członków gildii.

W drzwiach stanął jednak któryś ze służących. Trzymał tacę z herbatą.

– O, Carter... – Lord Downey znakomicie nad sobą panował. – Postaw to na tamtym stoliku, dobrze?

– Tak, proszę pana. – Carter odwrócił się i skinął głową. – Przepraszam, sir. Zaraz pójde po drugą filiżankę.

– Co?

– Dla pańskiego gościa, proszę pana.

– Gościa? Ach, znaczy, kiedy zjawi się pan Herba...

Urwał. Obejrzał się.

Młody człowiek siedział przed kominkiem bawił się z psami.

– Panie Herbatka!

– To się wymawia Herr-bat-ká, z akcentem na „a”, sir – rzekł Herbatka tylko z cieniem wyrzutu. – Wszyscy się mylą.

– Jak pan to zrobił?

– Całkiem prosto. Chociaż na ostatnim odcinku nieco mnie przypiekło.

Na dywanie leżało kilka płatków sadzy. Downey uświadomił sobie, że słyszał, jak spadają, ale nie było w tym nic szczególnie niezwykłego. Nikt przecież nie mógł zejść kominem. Przy końcu przewodu wmurowano ciężką kratę.

– Jest także zablokowany kominik za dawną biblioteką – oparł Herbatka, wyraźnie czytając mu

w myślach. – Przewody łączą się poniżej kraty. To zwykły spacer, sir.

– Doprawdy...

– Na pewno, sir.

Downey skinął głową. Stare budynki zwykle były podziurawione całymi labiryntami zablokowanych przewodów kominowych – ten fakt należało sobie przyswoić już na wczesnym etapie kariery. A potem, myślał, jakoś się o tym zapomina. Zawsze oplaca się wzbudzić i u tego drugiego respekt dla siebie. Tego też uczą – i też się zapomina.

– Psy chyba pana lubią – zauważył.

– Dobrze się dogadują ze zwierzętami.

Twarz Herbatki była młoda, otwarta i przyjazna. A przynajmniej przez cały czas uśmiechnięta. Dla większości rozmówców efekt tego uśmiechu psuł fakt, że jego właściciel miał tylko jedno oko. Jakiś niewyjaśniony przypadek doprowadził do utraty drugiego, zastąpionego teraz szklaną kulką. Rezultat okazał się niepokojący. Jednak lorda Downeya bardziej niepokoiło to drugie oko – to, które można by w zasadzie nazwać normalnym. Nigdy jeszcze nie widział tak małej źrenicy. Herbatka spoglądał na świat przez otworek po szpilce.

Downey zauważył, że wycofał się za biurko. Herbatka miał w sobie coś takiego, że człowiek czuł się pewniej, jeśli mógł się czymś od niego odgrodzić.

– Lubi pan zwierzęta, tak? – zapytał. – Mam tu raport stwierdzający, że psa sir George’a przybił pan do sufitu.

– Mógłby zacząć szczekać, kiedy pracowałem, sir.

– Niektórzy podaliby mu jakiś środek nasenny.

– Och... – Herbatka przez moment wydawał się przynębiony, ale zaraz odzyskał humor. – Jednak stanowczo wypełniłem kontrakt, sir. Nie może być wątpliwości. Sprawdziłem oddech sir Goerge’a lusterkiem, zgodnie z instrukcją. Napisałem o tym w raporcie.

– Istotnie.

Najwyraźniej głowa sir George’a znajdowała się w owej chwili o kilka stóp od ciała. Przerazająca była myśl, że Herbatka może nie dostrzegać w tym nic absurdalnego.

– I jeszcze... służba – powiedział.

– Nie mogłem pozwolić, żeby nagle weszli, sir.

Downey przytaknął, na wpół zahipnotyzowany szklistym spojrzeniem i okiem z dziurką po szpilce. Nie, nie mógł pozwolić, żeby nagle weszli. Skrytobójca może się czasem spotkać z oporem, może nawet stawianym przez ludzi edukowanych u tych samych nauczycieli. Ale staruszek i pokojówka, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w tym czasie w domu...

Nie istniała żadna formalna reguła – Downey musiał to przyznać. Tyle że przez długie lata gildia wypracowała pewien etos i jej członkowie byli zwykle bardzo schludni w swej pracy. Zamykali nawet za sobą drzwi i ogólnie sprząтали przed wyjściem. Krzywdzenie niewinnych było czymś gorszym niż naruszeniem moralnej osnowy społeczeństwa. Było naruszeniem dobrych manier. A nawet jeszcze

gorszym: przejawem złego smaku. Ale formalnej reguły nie było...

– To było właściwe, sir, prawda? – upewnił się niespokojnie Herbatka.

– Hm... Zabrakło pewnej elegancji.

– Rozumiem. Dziękuję panu. Zawsze chętnie przyjmuję krytyczne uwagi. Następnym razem będę o tym pamiętał.

Downey nabrał tchu.

– O tym właśnie chciałem porozmawiać – wyjaśnił. Podniósł obrazek tego... jak ta istota go nazwała? Grubasa? – Tak z czystej ciekawości – rzekł. – Jak zabrałby się pan do inhumacji tego... džentelmena?

Każdy inny, Downey był pewien, wybuchnąłby śmiechem. Powiedziałby coś w rodzaju: „Czy to żart, sir?”. Herbatka pochylił się tylko w wyrazem zaciekawienia i skupienia na twarzy.

– To trudne, sir.

– Z pewnością – zgodził się Downey.

– Potrzebowałbym czasu, żeby obmyślić jakiś plan.

– Naturalnie. I...

Ktoś zapukał i wszedł Carter z filizanką i spodkiem. Uklonił się Downeyowi z szacunkiem, po czym wyszedł.

– Już, sir – powiedział Herbatka.

– Przepraszam? – Downey nie zrozumiał.

– Wymyśliłem już plan, sir.

– Tak?

– Tak, sir.

– Tak szybko?

– Tak, sir.

– Na bogów!

– Wie pan zapewne, że zachęca się nas do rozważania problemów filozoficznych?

– O tak. To bardzo cenne ćwiczenie... – Downey urwał nagle ze zdumioną miną. – Chce pan powiedzieć, że naprawdę poświęcił pan czas na rozważania, jak inhumować Wiedźmikołaja? Naprawdę usiadł pan i zastanowił się, jak tego dokonać? Wykorzystywał pan swój czas wolny, żeby rozwiązać ten problem?

– Tak, sir. I Duchociastną Kaczkę. I Piaskowego Dziadka. I Śmierć.

Downey zamrugał niepewnie.

– To znaczy, że usiadł pan i rozważał, w jaki sposób...

– Tak, sir. Zebrałem sporo interesujących danych. W czasie wolnym od zajęć, naturalnie.

– Chcę być pewien, że dobrze zrozumiałem, panie Herbatka. Poświęcił... się... pan... badaniu sposobów zabicia Śmierci?

– Tylko jako hobby, sir, ale w samej rzeczy.

– No tak, znaczy hobby, owszem... Sam kolekcjonowałem motyle... – Downey wrócił wspomnieniem do pierwszych chwil rozkoszy przy użyciu trucizny i szpilki. – Ale...

– Prawdę mówiąc, sir, zasadnicza metodologia jest taka sama, jak w przypadku istot ludzkich. Okazja,

lokalizacja, technika... Trzeba tylko wziąć pod uwagę znane fakty dotyczące rozpatrywanego osobnika. Oczywiście, na temat tego akurat wiemy bardzo dużo.

– I opracował pan to wszystko, tak? – upewnił się Downey, niemal zafascynowany.

– Och, już dawno temu, sir.

– A kiedy, jeśli wolno spytać?

– To było chyba wtedy, gdy w pewną Noc Strzeżenia Wiedźm leżałem w łóżku, sir.

Bogowie! – westchnął w duchu Downey. I pomyśleć, że ja wtedy nasłuchiwałem dzwonekówa sań.

– Coś takiego – powiedział.

– Może będę musiał sprawdzić pewne szczegóły. Byłbym wdzięczny za umożliwienie mi dostępu do książek w Czarnej Bibliotece. Ale istotnie, widzę już chyba podstawowe zarysy.

– Jednakże... ta osoba... niektórzy uważają, że technicznie rzecz biorąc, jest nieśmiertelna.

– Każdy ma jakieś słabe punkty, sir.

– Nawet Śmierć?

– O tak. Absolutnie. Bardzo wiele.

– Naprawdę?

Downey znów zabębnił palcami o blat. Chłopak nie może przecież mieć prawdziwego planu, przekonywał sam siebie. Rzeczywiście, jego umysł jest nieco skrzywiony... Skrzywiony? Toż to prawdziwa spirala! Ale Grubas nie jest przecież kolejnym celem w jakiejś cichej rezydencji. Można chyba z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że już wcześniej ludzie zastawiali na niego pułapki.

Właściwie to był nawet zadowolony. Herbatka poniesie klęskę, możliwe, że wręcz śmiertelną klęskę, jeśli jego plan okaże się dostatecznie głupi. A gildia, być może, straci wtedy złoto – a może nie.

– Doskonale – rzekł. – Nie muszę wiedzieć, jaki jest pański plan.

– To się dobrze składa, sir.

– Co pan ma na myśli?

– Ponieważ nie zamierzałem go panu zdradzać. Byłby pan zmuszony do wyrażenia dezaprobaty, sir.

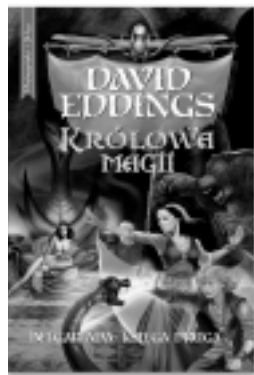
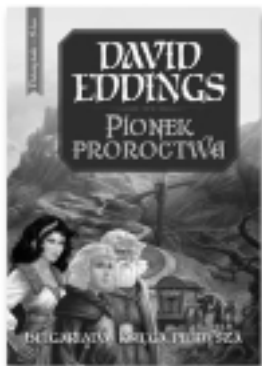
– Zdumiewa mnie pańskie przekonanie, że plan będzie skuteczny...

– Ja tylko logicznie rozważam problem, sir – odparł chłopak z lekkim wyrzutem.

– Logicznie?

– Przypuszczam, że widzę rzeczy inaczej niż inni ludzie.

DAVID EDDINGS



*Belgariada – wspaniała epicka opowieść, rozgrywająca się na tle siedmiu tysięcy lat historii walk bogów, królów i ludzi...
O niezwykłych krainach i wydarzeniach...
O losie i proroctwie, które musi się wypełnić.*

„Belgariada” Eddingsa jest esencją prawdziwej fantasy. Jest w niej magia, przygoda, humor, tajemnica i wiarygodni bohaterowie.

„Book Description”



Stał się legendą za życia. Ciągłe pamięta wspaniałe dni niezwykłych przygód; czasy, gdy bohater nie musiał się martwić o ogrodzenia, prawników i cywilizację; czasy, kiedy ludzie nie krytykowali zabijania smoków. Dzisiaj za to nie zawsze może sobie przypomnieć, gdzie odłożył swoje zęby... Teraz więc ze starożytnym mieczem, nową łaską i starymi przyjaciółmi Cohen Barbarzyńca wyrusza w ostatnią misję.

TERRY PRATCHETT

**Druga część bestsellerowej Nauki Świata Dysku!
W marcu w księgarniach!**

Sercem cieszącej się wielkim uznaniem „Nauki Świata Dysku” była opowieść Terry’ego Pratchetta o magach z Niewidocznego Uniwersytetu. Przypadkiem stali się oni świadkami kreacji i ewolucji naszego wszechświata. Opowieść przeplatata się z narracją Cohena i Stewarta na temat Wielkiej Nauki. W części drugiej, „Glob”, zastosowano tę samą zasadę, ale tym razem tematem są nauki humanistyczne (historia, początki języka, archeologia, antropologia, psychologia ewolucyjna), a przede wszystkim waga Opowieści dla naszej kultury. Powszechnie znana teoria stwierdza, że istnieje tylko siedem



opowieści dostępnych Człowiekowi. Elfy świata Dysku odkryły ósmą – opowieść o przerażającej mocy. Tę opowieść realizują w świecie Kuli (Na Ziemi), próbując w ten sposób pokonać czarownice Świata Dysku.

ŚWIAT DYSKU

*Zapadła noc przed Nocą Strzeżenia Wiedźm.
I jest zbyt spokojnie.*

*Jest też śnieg, latają rudziki i gile, stoją ubrane
drzewka, ale daje się wyraźnie zauważyć brak
grubego osobnika, który przynosi zabawki...*

*Susan musi go odnaleźć przed świtem.
Inaczej nie wzejdzie słońce.*

*Niestety, do pomocy ma tylko kruka z apetytem
na gałki oczne, Śmierć Szczurów i o boga kaca.*

*Co gorsza, ktoś wsuwa się jednak przez komin.
Tym razem niesie worek zamiast kosy,
ale jest w nim coś nieprzyjemnie znajomego...*

HO. HO. HO.

To prawda, co mówią: „Lepiej uważaj...”

